

„Dzień dobry sąsiedzie” – czyli wstęp do refleksji nad aktywizmem miejskim

Kasia

wrzesień 2015

Pod płaszczykiem chęci wprowadzania zmian w życiu miasta czy danej dzielnicy działacze miejscy legitymizują zastany porządek, dławiąc przy tym wszelkie próby „radikalnego zwrotu akcji” w życiu codziennym.

„Nie jesteśmy niepożądanymi obywatelami, my w ogóle nie jesteśmy obywatelami. Jesteśmy zbuntowanymi niewolnikami... Dlatego nie jesteśmy szanowani. Przyznajemy to i jesteśmy z tego dumni”

The Wobblies
(amerykański związek zawodowy)

Liberalizm dominuje nie tylko w sferze ekonomii – zgodnie z jego regułami kształtowane są również stosunki polityczne i społeczne. W te, z góry narzucone, zasady gry znakomicie wpisują się tzw. ruchy miejskie, które tylko pozornie aktywizują mieszkańców i pomagają im w zyskiwaniu wpływu na bieg wydarzeń oraz decyzje podejmowane w ich mieście. Władza z łatwością bowiem pozyskuje dla swoich celów „niezależne” ruchy miejskie, których uczestnicy często cechują się brakiem wyobraźni i pogłębionej refleksji oraz daleko posuniętym konformizmem. Ruchy te najczęściej służą po prostu budowaniu warunków do zabłyśnięcia wybranym działaczom i wspieraniu ich karier politycznych. Nawet jeśli oficjalnie nie mają takich założeń, szybko stają się przechowalnią dla przyszłych radnych i narzędziem sprawnie działającym na rzecz fasadowej, a nie realnej zmiany. Zazwyczaj im bardziej widoczny (w oficjalnym słowniku zaangażowany) działacz, tym lepszy skutek odnoszą jego starania o etat w Urzędzie Miasta. Niestety aktywiści miejscy są często postrzegani jako alternatywa czy „swojska kontra” dla elit rządzących miastem. Tym chętniej więc oddaje się na nich głos jako na „powiew świeżości”, „nowe twarze”, „ludzi od nas” etc. Jednak do miana aktywistów społecznych, którym sen z powiek spędza psia kupa na trawniku czy „nielegalny” plakat na skrzynce energetycznej, aspirują głównie osoby, których status społeczny pozwala poświęcać czas tego typu zagadnieniom, i dla których palące problemy społeczne jak miejska polityka mieszkaniowa, ni-skie płace etc. są mało interesujące, bo nie dotyczą ani ich samych, ani środowiska z którego się wywodzą i które w przyszłości odda na nich głos. Osoby, dla których tego typu problemy są czystą abstrakcją, chętniej poprą przeciw tego, kto w „czynnie społecznym” zadzwoni na straż miejską, widząc starszego jegomościa oklejającego słupy ogłoszeniami o sprzedaży tytoniu lub razem z nimi skrzyknie się na facebooku, by w ten sam sposób uciszyć przekrzykujących się pod sklepem penerów. Zadowoleni drobnomieszczenie z ulgą podarują swojego „lajka” i krzyżyk na wyborczej karcie aktywistom godnie reprezentującym ich własną mentalność.

„Patologia” nieprzykładająca zbyt dużej wagi do walki z kupą i plakatem najczęściej nie bierze udziału w tym plebiscycie gwiazd aktywizmu – w końcu to nigdy nie będą odpowiedni delegaci dla ich spraw i codziennych walk. Będą za to częścią elit i władzą, która – wspomagana przez kolejnych aktywistów miejskich – utopi ich w rozszerzającym się wciąż gąszczu kontroli i przepisów, w pojęciu „legalności” lub jej braku, będącym orężem w walce z tymi, którzy odważą się zakwestionować zastany porządek rzeczy. „Patologia” płaci

mandaty za swe liczne przewiny i daje zajęcie straży miejskiej – w rzeczywistości jednak bardziej splanuje rachunek za obsesję kontroli generowaną przez władzę oraz „misję społeczną” aktywistów miejskich, niż za rozklejanie plakatów czy zagłuszanie ciszy nocnej.

Ruchy miejskie najczęściej więc tak naprawdę wspierają posunięcia władz i tworzą swoistą osłonę dla ich działań i interesów. W jaki sposób? Faworyzują one – o czym była mowa powyżej – wybrane jednostki i grupy społeczne (wywodzące się z ich własnego środowiska), pomijając w swych dążeniach, a nawet pogłębiając wykluczenie, ludzi o mniejszych wpływach i zasobach. Poza tym, skupieni wokół nich aktywiści potrafią odciągnąć uwagę opinii publicznej od istotnych problemów społecznych, przekierowując ją umiejętnie na mało istotne zagadnienia, których podjęcie tworzy złudzenie działania na rzecz zmiany. Choćbyśmy mieli idealnie równe chodniki, czyste trawniki, zawsze dobrze zaparkowane samochody i wolne od plakatów słupy, ludzie i tak pozostaną niewolnikami władzy i kapitału, wykluczoną masą, która traci dach nad głową, pada ofiarą nieuczciwych pracodawców i nawet nie marzy o tym, by mieć realny wpływ nie tylko na sprawy o charakterze społeczno-politycznym, ale nawet na własne życie.

Ścisłe wiąże się to z próbami uciszenia czy nawet zdyskredytowania zwolenników radykalnych zmian, którzy występują przeciwko aktualnie rządzącym lub przeciwko władzy jako takiej (jak na przykład anarchiści), proponując zupełnie inne spojrzenie na zaistniałą sytuację i zupełnie inne rozwiązania oraz metody walki. Pod płaszczykiem chęci wprowadzania zmian w życiu miasta czy danej dzielnicy działacze miejscy legitymizują więc zastany porządek, dławiąc przy tym wszelkie próby „radykalnego zwrotu akcji” w życiu codziennym mieszkańców i ich wpływie na decyzje ratusza. Pomagają w utrzymaniu istniejących stosunków władzy i dominacji uprzywilejowanych grup społecznych nad tymi, których oficjalnie nazywa się niezaranymi życiowo, a przy rodzinnym stole i w komentarzach na facebooku już wprost i bez ogródek: menelami, patologią, brudasami, nierobami etc.

Ostatnio niezwykle nośnym medialnie i aktywistycznie tematem jest m.in. pełna poświęceń walka z wiatrakami czyli plakatami, które nieustannie pojawiają się w miejskiej przestrzeni. Walka ta dotyczy zarówno plakatów komercyjnych, jak i drobnych ogłoszeń typu „zaginął piesek” oraz plakatów o treści społecznej, których rozpowszechnianiem trudnią się m.in. anarchiści. Ta gra, która przybrała już rozmiar niekończącej się opowieści, toczy się o niezwykle wysoką stawkę – poczucie estetyki klasy średniej, którego najpopularniejszym symbolem jest czysty słup. Dzięki zaangażowaniu w ten temat aktywistów miejskich, nawet miejski PR-owiec postanowił wysłać prezydenta Poznania (wywodzącego się nomen omen z ruchów miejskich) na ulicę ze szpachelką w ręku i hordą dziennikarzy dookoła. Zaowocowało to serią artykułów w lokalnych mediach. Akcja ta – dedykowana zainteresowanej tematem widowni wyborczej – była równie zręcznym popisem co pozostałe posunięcia władz i ich aktywnych zwolenników – jak kary pieniężne czy modne ostatnio tropienie „przestępców plakatowych” ze strażą miejską na linii.

Warto chyba w tym miejscu podkreślić, że anarchiści nie są zwolennikami reklam zagarniających ostatnie wolne od nich skrawki miasta. Jesteśmy przeciwni wielkoformatowym i czysto komercyjnym reklamom nie tylko dlatego, że są wątpliwą ozdobą, ale przede

wszystkim dlatego, że wspierają biznes i nakręcają bezmyślny konsumpcjonizm. Korzystanie ze sprywatyzowanych przestrzeni reklamowych wymaga nakładów pieniężnych, którym sprostać mogą nieliczni – wielki biznes, intratne przedsięwzięcia komercyjne oraz korporacje. Gdzie w tym wszystkim tzw. zwykły człowiek, gdzie oddolna inicjatywa mieszkańców, która podobno tak bardzo leży na sercu ruchom miejskim?

Co zaś tyczy się drobnych plakaciarzy, sprawa ta jest daleko bardziej złożona niż przedstawiają ją władze i miejscy aktywiści. Jak już wielokrotnie zaznaczaliśmy w swych komentarzach dotyczących omawianej sprawy – plakatowanie komercyjne nie jest rozrywką znudzonych mieszczan ale pracą, po prostu pracą. Zajęcie to jest obwarowane mocno prekarnymi, śmieciowymi warunkami i obok wielu tego typu prac stanowi często jedyną możliwość zarobkowania dla wielu ludzi. Sądząc po reakcjach aktywistów i tzw. porządnym obywateli, którzy kibicują ich staraniom, fakt ten jawi im się jako mocno osobliwy, tak dziwny, że niemożliwy do wyobrażenia w ich prostym, poukładanym świecie, którego granice wyznaczają trawniki bez psich kup i świeżo malowane słupy.

Dokonywanie znaczących zmian społecznych często jednak wymaga sięgania po to, co niewyobrażalne, przekraczania własnych ograniczeń myślowych oraz schematów narosłych w nas w toku socjalizacji. Bezrefleksyjne oddanie obecnemu łaadowi prawnemu czy zbyt umiłowanie porządku pomagają władzy trzymać społeczeństwo w ryzach i niwelować próby jakichkolwiek wystąpień przeciwko niej, czy nawet przejawy krytycznego myślenia. Taka postawa pomaga w niszczeniu wspólnotowości, której zadaniem jest wkluczanie wszystkich w obręb jej działań, ogranicza jej różnorodność i rozwój. Wydaje się to jednak być korzystne dla miejskich aktywistów, którzy bardziej niż w rozwiązywaniu istotnych problemów społecznych partycypują w nakręcaniu spirali kontroli i represji. Władza chętnie kara plakatujących, bo jest to znacznie prostsze od zwalczania krzykliwych billboardów czy reklamowych płacht zasłaniających całe budynki. Dostaje się więc „zwykłym” ludziom, a nie wielkim firmom, które płacą im głodowe stawki za wykonywaną przez nich pracę. Nie wspominając już o tym, że potępiające takie praktyki miasto równocześnie samo nierzadko reklamuje się w podobny sposób – propagując za pomocą rozwieszonych gdzie się da plakatów swoje imprezy lub czerpiąc zysk z tak udostępnianych wydarzeń, na przykład poprzez pośredniczenie w sprzedaży biletów. Kampania zrywania plakatów i karania plakatujących trwa więc w najlepsze, a aktywiści miejscy nie tylko udzielają jej swego poparcia i czynnie biorą w niej udział, ale też z upodobaniem stosują własny system sankcji wobec winnych zbrodni na estetyce.

Mowa tu o plakatowaniu, jednak to zafiksowanie na punkcie prawa i porządku coraz częściej dotyczy również ludzi, którzy w jakiś sposób nie pasują do pożądanego przez aktywistów wizji miasta i funkcjonowania w nim. Coraz częściej bowiem obserwujemy niepokojące głosy „obywateli”, którzy pragną się pozbyć ze swojego otoczenia nie tylko plakatów czy krzykliwych szyldów, ale też wybranych grup społecznych, które bez ogródek potrafią nazwać ludzkim śmieciem przeznaczonym do wywózki. Sprawa ta wymaga więc pogłębionej analizy i uwagi ze strony tych, którym na sercu leży tworzenie oddolnego społeczeństwa, do którego należeć będą wszyscy, nie zaś tylko ci, którzy spełniają wymogi klasy średniej i wraz z nią śnią drobnomieszczański sen o mieście.

Jak zaznaczono w tytule jest to jednak zaledwie wstęp do rozważań nad aktywizmem miejskim. Artykuł ten stanowi bowiem zapowiedź broszury poświęconej temu tematowi. Konkretnie przyjrzymy się więc za jakiś czas we wspomnianej publikacji, która rozwinie poruszone tu wątki i przyjrzy się kwestiom, na które w tymże artykule nie wystarczyło już miejsca.

Kończąc, musimy dobitnie podkreślić, że relacje między ludźmi, samoorganizacja, pomoc wzajemna oraz walka o realny wpływ na rzeczywistość znaczą dla nas – anarchistów – więcej niż prawo i porządek oraz czyjeś dobre samopoczucie, nadęte pojęcie estetyki i błyskotliwe kariery polityczne. Czyste ulice, wyczyszczone kamienice (oraz numer do straży miejskiej jak mantra powtarzający się w wybranych połączeniach), to wasze święte prawo do miasta. Niegrzecznie za nie podziękujemy, by dalej robić swoje. Do zobaczenia na ulicach – już teraz łapcie za telefony.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Kasia
„Dzień dobry sąsiedzie” – czyli wstęp do refleksji nad aktywizmem miejskim
wrzesień 2015

Opublikowane w pierwszym numerze „Ataku”

pl.anarchistlibraries.net